
RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatarł śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom-Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje w pewnym sensie do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz do serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej w poprzednich latach przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków pod red. nieodżałowanej pamięci Janusza Przewłockiego, pomysłodawcy tego działu w naszym piśmie. Zesłańcze wspomnienia wydawane są także w poczytnej serii „Tak było... Sybiracy”, realizowanej przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie, pod red. Aleksandry Szemioth, przewodniczącej tamtejszej Komisji Historycznej oraz systematycznie drukuje je czasopismo „My Sybiracy” wydawane przez Oddział Związku Sybiraków w Łodzi. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacimy naszą historiografię o cenne źródła dotyczące zesłań Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony byłego Związku Radzieckiego. (red.)

*

Stanisław Czyżyński – *Wspomnienia*

Gdy wybuchła wojna moja rodzina składała się z sześciu osób, tj. Ojca Antoniego urodzonego w 1899 r., Matki Ludwika ur. w 1904 r., mnie, czyli ich najstarszego syna Stanisława ur. w 1928 r. oraz siostry Heleny ur. w 1930 r., brata Stefana ur. w 1933 r. i siostry Henryki ur. w 1935 r. Wiele lat później na obcej i nieprzyjaznej ziemi rodzina powiększyła się jeszcze o najmłodszą siostrę – Krystynę, która urodziła się w 1944 r.

Mieszkaliśmy we wsi Krzywe, powiat Radziechów, woj. tarnopolskie. Tam właśnie 10 lutego 1940 roku wczesnie rano, a właściwie była jeszcze noc, do drzwi załomotało NKWD w towarzystwie Ukraińców. Powiedzieli, że mamy brać najpotrzebniejsze rzeczy i ładować się na sanie. Ojca związali i postawili pod ścianą. Wrócił z wojny, miał mundur i myśleli, że ma karabin. Nas, dzieci kazali Mamie ubierać. Sami przeprowadzali rewizję. Gdy weszli do spiżarni i zobaczyli parę bochenków chleba, to pytali jeden drugiego, czy to piekarnia. Odsunęli szafę, która stała w rogu pokoju, za nią wisiały zapasy: słonina i kiełbasa. Szybko załadowali nas na sanie i zawieźli na stację kolejową w Hołoniowie.

Bydłące wagony. Po obu stronach wagonu piętrowe prycze, na każdej dwie rodziny. Żelazny piecyk pośrodku, a z boku otwór w podłodze, żeby załatwiać potrzeby. Pod sufitem zakratowane okienka, ale i tak trzeba je było zamykać, bo na dworze był silny mróz. Pamiętam, że jeszcze w Hołoniowie maszynista – Ukrainiec, który przejeżdżał po sąsiednim torze zażartował: „Jak będą was wieźć na zachód, to pchajcie, a jak na wschód – to trzymajcie”. Jechaliśmy nie wiadomo gdzie. Przeładunek na szerokie tory trwał bardzo krótko, wprost z wagonu do wagonu i dalej, o głodzie i w chłodzie. W marcu dojechaliśmy do stacji Kotłas w Archangielskiej Obłasti. A potem dalej przez dwa tygodnie saniami do osady Niżna Muczna, rejon Tojma. Ulokowano nas w barakach z piętrowymi pryczami. Mieszkaliśmy tu w towarzystwie wszy i pluskiew, głodni i zmarznięci. Aby nieco się ogrzać, mimo trzaskającego mrozu, nosiliśmy drzewo z lasu.

Rodzice poszli natychmiast do pracy w lesie. Ścinali drzewo na spław i na budowę nowych baraków. Ja od 10 marca też pracowałem w lesie przy przygotowywaniu drewna na opał do kuchni i piekarni. W brygadzie pracowało nas czterech dzieciaków. 15 kwietnia wydarzył się wypadek; na dwóch z nas zważyło się podcięte drzewo. Poleciało nie tam, gdzie trzeba, bo wiatr wiał w odwrotnym kierunku. Kolega nie przeżył, a ja jakoś się wykaraskałem z choroby. Latem zbierałem już mech do uszczelniania nowo budowanych baraków. Pracujący w lesie „przy zrębie”, musieli wyrabiać normę w metrach sześciennych, już nie pamiętam ile.

Ciągle chorowaliśmy na różne choroby. Najmłodsza siostra, Henia, w pewnym momencie tak zachorowała, że nie dawała znaku życia. Wszyscy się nad nią modlili. Tato wezwał lekarza, który zapisał tylko na kartce, żeby kupić w sklepie 5 dkg masła i 5 dkg cukru i to jej podawać. Mnie wysłano do sklepu, przyniosłem te medykamenty. Na zeschnięte wargi podawano jej łyżeczką masło. Była wielką radość, kiedy je oblizała. O skuteczności tego leku (albo naszych modlitw) niech świadczy fakt, że Henia przeżyła i mieszka z mężem w Sosnowcu, ma dorosłe dzieci.

Kiedyś stojąc z młodszą siostrą Helą w kolejce po zupę, zostaliśmy poturbowani. Starsi wrócili z pracy i wypchnęli dzieciaki z kolejki. Uważali, że silniejszy ma pierwszeństwo. Pewnego dnia ludzie się zbuntowali. Praca była za ciężka, a jedzenie słabe. Oczywiście ludzi rozpędzono i pojedynczo wzywano do biura na przesłuchanie. Wezwano też mego kuzyna Stanisława Gliwińskiego. Po przesłuchaniu został aresztowany i zamknięty w karcerze. Uważali, że to on wszystkich buntuje. Mama dała mi kawałek chleba, żebym mu zaniósł. Bardzo się bałem, żeby mnie też nie zamknęli. Po trzech dniach gdzieś Staszka wywieźli i wszelki śluch po nim zaginął.

W czasie zimy przygotowywaliśmy z mamą w lesie kawałki drewna brzozonego na kolby do karabinów. Potem wynosiłem je na drogę, żeby można je było załadować na sanie i przewieźć dalej. Pewnego dnia w pięciu chłopaków poszliśmy do tajgi na grzyby i zabłądziliśmy; nie mogliśmy znaleźć drogi powrotnej do domu. Wleźliśmy na świerki i krzyczeliśmy, może ktoś usłyszy. Zapadł zmrok. Zaczął padać deszcz, a krzyceć już nie mieliśmy siły i baliśmy się niedźwiedzi. Więc chwilami siedzieliśmy cicho, to znów wrzeszczeliśmy, ile się dało. Wreszcie usłyszeliśmy głos. To był mój Tato. Wrócił wieczorem z pracy, a nas nie było. Ludzie mu powiedzieli, w jakim kierunku poszliśmy i on nas szukał.

Sam też pobłądził. Krążył po lesie. Gdy wróciliśmy już dobrze po północy, w baraku nikt nie spał. Wszyscy się modlili, odmawiali Litanię do Matki Boskiej.

Na wiosnę 1941 roku Tato pracował przy splawie drewna, nie było go z nami przez trzy tygodnie. Jak wrócił, przyniósł trochę ziemniaków. Ależ była radość! Dawno ich nie jedliśmy. Mama obrała kartofle, a Tato wziął obierki i posadził za barakiem... i urosły! Jesienią tego roku komendant osady ogłosił, że jesteśmy wolni i możemy poruszać się po Związku Sowieckim, gdzie chcemy. Ojcowie rodzin na naradzie wybrali miejscowość Astrachań, bo na południu i będzie ciepło. Moi rodzice nie czekali na furmankę. Poszliśmy pieszo do najbliższego kolchozu oddalonego o 30 km. Tam przez dwa tygodnie kopaliśmy ziemniaki, w zamian za dowiezenie całej rodziny na statek w miejscowości Tojma nad rzeką Dwiną. Statkiem dopłynęliśmy do stacji kolejowej w miejscowości Kotłas. Tu załadowano nas do wagonów towarowych, ale już nie zamykano. Tu też dowiedzieliśmy się, że Astrachań to strefa wojenna i skierowano nas do Iranu. Gdyśmy stali na granicy, oczekując na odprawę celną, przyszedł jakiś młody człowiek, Polak i radził, żeby tam nie jechać, bo tam większy głód niż na Syberii. Wszyscy wyładowali się z wagonów. Mieszkaliśmy na polu przed wagonami. Tam pierwszy raz jadłem mięso z psa. Nie było co jeść. Starsi chłopcy złapali bląkającego się po polu psa i ugotowali go.. Dali mi kawałek tego mięsa. Zjadłem, byłem głodny. Z tej stacji podwodami ciągnionymi przez osły przewieziono nas do kolchozu w Uzbekistanie. Tam zbieraliśmy bawełnę na polu i nosiliśmy do magazynu.

W kolchozie nie uprawiano zboża, więc nie mieli co dać nam do jedzenia i po miesiącu odwieźli nas na stację kolejową, a stamtąd wyruszyliśmy do Kazachstanu, do kolchozu Usuktas, rejon Czajen, obłast Czembient. Przewodniczący kolchozu zaprowadził nas do jednego Kazacha o imieniu Deulen i kazał mu wyprowadzić owce i kozy z przybudówki do innego pomieszczenia, bo my, Polacy, musimy tu mieszkać. Mama spodziewała się wtedy potomstwa. Usunęliśmy obornik po zwierzętach i tak zamieszkaliśmy. Właśnie tam w maju 1944 roku urodziła się nasza najmłodsza siostra Krysią. Było bardzo ciężko; pięcioro dzieci i dwoje rodziców. Właściciel nie był z nas zadowolony. Byliśmy dla niego ciężarem. A my, przerobiliśmy i uporządkowaliśmy stajnię, żeby można było godziej mieszkać. Ojciec z surowych cegieł wymurował piec kuchenny. Sąsiadowi bardzo się to spodobało i kazał sobie taki sam piec postawić. Ojciec był zdunem, ale potrafił wszystko zrobić. A kiedy wyremontowaliśmy na zewnątrz cały budynek, to i Kazach się z nami zaprzyjaźnił. Podpowiadał nam potem, jak żyć w kolchozie, żeby przetrwać.

Tato i ja pracowaliśmy w kolchozie w polu przy siewie i zbiorze pszenicy. Mama opiekowała się najmłodszym członkiem naszej rodziny, a moje młodsze rodzeństwo pomagało jej i pasło kozy i gęsi Deulena. Praca była ciężka. Orałem trzema końmi i pługiem dwuskibowym. Obowiązywała dzienna norma – 1,5 ha. Jak się nie wyorało, nie było normy, czyli „*trudodnia*”. Za rok pracy z Ojcem dostaliśmy zaliczkowo 200 kg pszenicy. A kiedy na koniec roku zabrakło zboża do podziału, przydzielono nam wychudzoną owcę. I chociaż sama padła, zostawiła jagnię, które udało się ocalić i wychować mojemu młodszemu rodzeństwu. Mieliśmy jeszcze dwie kozy, które ojciec dostał jako zapłatę za wybudowanie pieca. Kozie mleko bardzo się przydało dla naszej najmłodszej siostry, która dzielnie znosiła z nami głód i niedostatek. Zimową

porą chodziłem w góry kłusować, zakładałem żelaza na lisy i zające, z końskiego włosia robiłem sidła na kuropatwy, bażanty i dzikie kurki.

Wczesną wiosną, gdy już zaczęły się roztopy, Mama pożyczyła u Kazacha osiołka, bo szkoda było butów do chodzenia po błocie, po którym trzeba było dojść do zastawionych sideł. Na całą rodzinę mieliśmy tylko dwie pary butów; Ojciec stale nosił jedną parę, a my pozostała piątka – drugą. Na tym pożyczonym osiołku przepравиłem się przez rzekę. Uwiązałem osiołka i poszedłem na obchód po założonych sidłach i żelazach. Gdy wróciłem, okazało się, że rzeka wylała, bo w górach topniał śnieg. Była teraz za głęboka i nie było mowy, żeby przejechać ją na osiołku. Poszedłem więc w góry szukać płytszego miejsca. Góry były wysokie, a osioł uparty i nie chciał iść po skałach. Już w nocy dotarłem do sąsiedniego kołchozu. Spotkałem tam chłopców, którzy poili konie, a ponieważ mój osioł dalej nie chciał iść przez wodę, więc mnie zostawili po drugiej stronie rzeki. Pojechałem jeszcze dalej w górę rzeki i w końcu trafiłem na jakąś chatę. Nie mówiłem dobrze po kazachsku, więc kobieta nie chciała mi otworzyć. Mieszkała sama, mąż był na froncie. Otworzyła dopiero, kiedy jej powiedziałem, czyjego mam osiołka. Osiołka zamknęła w przybudówce, mnie pokazała kąt, w którym mogłem się przespać. Poruszyła jeszcze tłące się na środku izby ognisko, abym się trochę ogrzał, zdjęła ze ściany dubeltówkę i położyła ją sobie pod głowę. Tak przesiedziałem mokry do rana. A gdy zaczęło świtać, wstałem i ruszyłem przez step do swojego kołchozu. Gdy wróciłem do domu, siostry i brat siedzieli na pryczy i płakali, a rodziców już nie było, poszli z Kazachami i właścicielem osiołka mnie szukać. Poszukujący wrócili dopiero wieczorem, bo znaleźli moje ślady, jak wdrapywałem się na szczyt skał i po nich dotarli do kobiety, u której został osiołek.

Latem, aby zrobić zapasy zboża na zimę, zbieraliśmy na ściernisku kłosa, żeby mieć co mleć na żarnach. Ale to jednak zawsze było za mało, bo rodzina duża. Kazach pouczał ojca: „*Anton mało spaj, a mnogo taskaj*” i tak robiliśmy; w nocy nosiliśmy snopy z pszenicą do domu, a mama i młodsze rodzeństwo w dzień młócili kijami. Z plew czyściliśmy ziarno na wietrze, gdzieś w wąwozie, żeby nikt nie widział. To musiało starczyć do nowych żniw dla nas i sąsiada, u którego mieszkaliśmy.

Wczesną wiosną 1946 roku *predsiedatiel* kołchozu otrzymał zawiadomienie, że jeżeli w jego kołchozie są jacyś Polacy, to żeby ich odstawił do rejonu Czajen. Polecenie wykonał. Dał nam Kazacha jako przewodnika i dwa osły, na które załadowaliśmy nasz dobytek i najmłodsze rodzeństwo. Sami przeszliśmy 30 km pieszo. W rejonie zebrano nas w jedno miejsce i kolejno ładowana na samochody, które woziły jakieś zioła do stacji kolejowej o nazwie Czembient. Na dworcu czekaliśmy kilka dni, aż się zebrał komplet ludzi na transport do Polski. Znowu załadowano nas do wagonów towarowych z pryczami, ale już nie było straży i zamykania wagonów. Jechaliśmy ze dwa miesiące. Raz Mama wyszła na postoję poszukać czegoś do jedzenia dla dzieci i pomyliła wagony. Ruszyliśmy bez niej. Trwało to parę dni zanim pociąg znów się zatrzymał. Jakimś cudem Mama nas znalazła i więcej nie rozstawaliśmy się. Dojechalśmy do Lublina. Wielka była radość, bo w końcu upragniona Polska. Ale nie wolno się było rozchodzić, bo to jeszcze nie koniec podróży. Następnie zawieziono nas do Poznania, a po paru dniach do Choszczna w województwie

szczecińskim. Stamtąd 17 rodzin zawieziono do miejscowości Zalesie, w której chciano założyć z sybiraków kolchoz. Ponieważ oni nic nie mieli, na początek dali im dwa konie i dwie krowy. Ojciec nie wyraził zgody na pracę w kolchozie.

Wprost ze Szczecina Mama pojechała szukać rodziny, która przed wojną została w Sosnowcu. Znalazła swoją siostrę i siostrę Taty. Przy tej okazji ochrzciła naszą najmłodszą siostrę Krysę 28 lipca 1946 roku w kościele pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny w Sosnowcu. Rodzina chciała, by Rodzice zostali z nimi, ale Mama wolała pracować na gospodarstwie. Bała się, że w mieście nie utrzyma tak dużej rodziny. Wyjechaliśmy do Trzebnicy w województwie wrocławskim. Jako repatriant Ojciec otrzymał gospodarstwo rolne we wsi Cerekwica, zabudowania w bardzo złym stanie i 7 hektarów ziemi. Trzeba było zaczynać od początku. Pracowaliśmy ciężko w gospodarstwie. Byliśmy już prawie dorośli. Chodziłem z siostrą Helą do szkoły wieczorowej, a młodszy Stefan i Henia do podstawowej. Tam na Syberii nikt z nas do szkoły nie chodził, tam szkoły nie było. Nasz Ojciec nie zaznał jednak spokoju. Często przyjeżdżała milicja, wypytywali o różne rzeczy. Przychodzili z Urzędu, trzeba było uważać, co się mówi i komu. W 1950 roku przyjechał do Ojca sekretarz Komitetu Gminnego i agitował do Spółdzielni Produkcyjnej, chciał, żeby Ojciec namawiał sąsiadów i opowiadał, że w Rosji, w kolchozach było dobrze, że sam to widział. Proponował też, że zostanie przewodniczącym spółdzielni, bo się na tym zna. Ojciec nie wyraził zgody. Życie miał potem uprzykrzone do końca lat sześćdziesiątych.

W 1949 roku wyjechałem do Świebodzic i w Zakładzie Lin i Powrozów złożyłem tam podanie o pracę wraz z życiorysem. Zostałem przyjęty, ale po paru dniach wezwano mnie do działu kadr, żeby zmienić życiorys. Miałem napisać, że wyjechałem do Związku Radzieckiego, a nie że wraz z rodzicami wywieźli mnie na Sybir, jak napisałem. Nie zgodziłem się. Zwolnili mnie z pracy. Wróciłem do domu, do rodziców. Z czasem założyłem rodzinę; miałem dwa hektary pola i wynajęty kąt w Cerekwicy, aż wreszcie przenieśliśmy się do Lubinia gdzie podjąłem pracę w Kopalni Miedzi, dostałem mieszkanie. Tutaj wychowała się i usamodzielniała trójka moich dzieci, tutaj spędzam wraz z żoną Stanisławą czas na emeryturze.

Pozostałe rodzeństwo również ułożyło sobie życie w różnych miejscach Polski: siostra Helena, mąż Marian Niedziela i sześćcioro dzieci, mieszkają w Cerekwicy; brat Stefan, żona Kazimiera, czworo dzieci, objął ojcowską w Cerekwicy; siostra Henryka, mąż Stanisław Jachym, troje dzieci, mieszkają w Sosnowcu; najmłodsza siostra Krystyna, urodzona w Kazachstanie – dziecko Sybiru, wdowa, matka dwójki dzieci, mieszka w Pyskowicach. Rodzice zmarli: Mama - 8 maja 1966 roku, a Ojciec - 8 lipca 1977 roku. Bogu dzięki i Matce Najświętszej, że miała nas w opiece przez cały Sybir aż do Ojczyzny Polski.

*

Epilog. Urodziłam się w miejscu, którego nazwy nikt nie znał i do końca nikt nie był pewien. Mój „akt urodzenia”, spisany na jakimś skrawku gazety przez jakiegoś sowieckiego urzędnika, najpierw skrupulatnie przechowywany przez mojego Ojca, potem gdzieś w życiowej zawierusze zaginął. Urodzona w roku 1944 w Kazachstanie w miejscowości Usuktas czy Usiktas jako najmłodsze dziecko Ludwika i Antoniego Czyżyńskich otrzymałam imiona Krystyna Genowefa. Szkołę podstawową skończyłam w Cerekwicy, a Technikum Rolnicze w Bierutowie. Miałam zostać na gospodarstwie z rodzicami, ale wyszło inaczej. Wyszłam za mąż za Edmunda Gądka i zamieszkałam na Śląsku. Pracowałam w Zakładach „Bumar” Łabędy, wychowałam dwoje dzieci.

Moje istnienie jest dowodem wielkiej miłości i jeszcze większej nadziei moich Rodziców, którzy w każdej chwili swojej tułaczki wierzyli, że wrócą do domu, do Polski. Rodzice nauczyli nas ciężkiej pracy, szacunku do ludzi i uczciwości. Mam nadzieję, że nam udało się przekazać te wartości następnemu pokoleniu.

Krystyna Genowefa Gądek

*

Henryk Owczarek – *Urywki wspomnień mego zesłania na Sybir*

W sobotę 13 kwietnia 1940 roku walenie i łomot do drzwi wczesnym rankiem. Do mieszkania wtargnęli sowieccy żołnierze na czele z oficerem, brutalni w zachowaniu i cyniczni w słowach. „Zabierajcie się jedziecie do ojca”. „Macie 30 minut”! Przerazenie ogarnęło naszą trójkę. Babcia, siedemdziesięcioletnia staruszka, ja dziesięcioletek i młodszy brat Jurek, lat 8, łapiemy co popadło, garnek, czajnik, szczotkę. Jurek wchodzi na taboret, zdejmując obraz Matki Boskiej, bodajże Ostrobramskiej. Podbiega do niego kałmuk, wrywa mu obraz i trzaska nim o podłogę. Podnosimy ogólny lament. Lejtnant, młody chłopak, energicznie reaguje, ostudza zapalczliwość podwładnego, jest człowiekiem bardziej ludzkim i wyrozumiałym. Bierze z komody różaniec, wręcza Jurkowi i uspokaja nas mówiąc: „Z tym krestom też można się modlić”, a babci poleca brać pościel, ciepłą odzież, ubrania i cenniejsze rzeczy. Sam pomaga pakować fibrową walizkę i tobołek, babci wręcza „cebule” czyli zegarek kieszonkowy ojca, pierścionek i obrączki. Wiedział jak niezmiernie cenne było to, co radził zabrać. Jego słowa „zbierajcie się, jedziecie do ojca”, były fałszem, ale skąd on mógł wówczas wiedzieć o mającym nastąpić mordzie w Katyniu. Ojciec mój, podporucznik rezerwy był jeńcem wojennym w Kozielsku, a w tym czasie – 13 kwietnia 1940 roku był już przeznaczony na zagładę. Z Kozielska otrzymaliśmy od ojca jeden, jedyny list. Mama nasza zmarła w Brześciu nad Bugiem w roku 1935, mając 30 lat.

Gdy opuściliśmy nasz rodzinny dom na zewnątrz czekała ciężarówka. Były już w niej cztery kiluosobowe, szlochające rodziny. Do tego składu dopchano i nas. Zajechaliśmy na stację kolejową, na tak zwany punkt zborny. Na bocznicę stał skład wagonów bydłowych, do których wepchnięto nas posługując się kolbami karabinów. Wagony z okienkami po obu stronach okratowane dawały nikłe światło. Bezpośrednio na podłodze i na dwóch przyczach mieściło się około 40 osób, sami starcy, kobiety i dzieci. Mężczyzn nie było. Drzwi zamknięte, ba, nawet zaryglowane na głucho. Przy drzwiach był otwór w podłodze wagonu nakryty stara miską, który służył za ubikację. Osoby starsze korzystające z niej zasłaniały się czym popadło, my dzieci, nie

czyniliśmy tego. Stłoczeni w tych wagonach, przy mroźnej wiośnie, w nieocieplanych wagonach, brudni, głodni, nękani chorobami, jechaliśmy w nieznanie. Raz na dobę dostarczano do wagonów gorącą wodę tzw. *kipiatok*, i skąpe ilości chleba czarnego, ościstego, gliniastego. Podczas postoju, często w szczerym polu, wyrzucano z wagonów wprost na pobocze torowiska trupy, przeważnie niemowlęta i schorowanych starców. Podróż koleją trwała 17 dób.

Dokładnie w dniu święta klasy robotniczej 1 maja 1940 roku, po przejechaniu około 4 tys. kilometrów, transport zatrzymał się w Akmolińsku nad rzeką Iszym. Cztery rodziny (razem 12 osób), w tym i moją, skierowano do kołchozu oddalonego od Akmolińska o 100 kilometrów. Jechaliśmy przez trzy doby na północ, rozległym syberyjskim stepem na dwóch arbach zaprzężonych w parę wołów. Zaprzęgami powozili starzy Kazachowie. Na miejscu zesłania stanęliśmy 3 maja wieczorem, w nasze narodowe święto, na placu w środku wsi. Sekretarz Sielsowietu przydzielił nam kwaterę u młodej wdowy Panasiuk Jeleny Antonowny. Wieś Zwienigorodka, w której wegetowaliśmy przeszło 3 lata, położona malowniczo wśród rozległych stepów północno-wschodniego Kazachstanu, ciągnęła się na odległość 2 kilometrów od wschodu na zachód dwiema równoległymi, piaszczystymi drogami – ulicami. Między tymi drogami, za rzędami domostw, uprawne ziemie przeznaczono na działki ogrodowe dla kołchoźników, które z reguły świeciły pustką z braku nasion i czasu na ich uprawę. Wokół wsi rozciągała się niezmiernie równina stepu, wiosną pokryta bujną roślinnością, aby z biegiem lata wyschnąć na mierzwę. Odległość do najbliższego aulu Kazachów wynosiła 18 kilometrów, a do miasteczka Turgaj – 25 kilometrów. Od strony wschodniej, w piękne, pogodne dni, zarówno latem jak i zimą, kiedy powietrze było czyste, świeże, przezroczyste, widniała panorama Ałtaju. Od strony północnej, na całej długości wsi znajdowało się jezioro o kształcie owalnym, gęsto porośnięte trzcina od południowej strony. Trzcinę używaną jako opał kosiliśmy zimą gdy jezioro zamarzło, specjalnie do tego celu wykonaną kosą. Północna strona jeziora była bez zarośli, płytka, z wodą czystą, przezroczystą aż do dna. Poiliśmy w niej stada owiec, cieląt, krów i koni wypasanych w pobliżu jeziora. We wsi przeważała ludność pochodzenia rosyjskiego, ukraińskiego i białoruskiego, potomkowie dawnych przesiedleńców i zesłańców, których ojcowie nie podporządkowali się nakazowi kolektywizacji swojej ziemi. Osiem rodzin kazachskich mieszkało stale we wsi, podczas gdy większość ich pobratymców jako lud pasterski, koczowała po rozległym stepie, mieszkając latem w jurtach.

Do nas, Polaków, zarówno Rosjanie jak i Ukraińcy odnosili się przyjaźnie, podobnie traktowali nas Kazachowie, którzy przejawiali nieraz wręcz wylewność. W relacjach z nimi ich byt materialny niewiele różnił się od naszego. Tak samo byli głodni, obdarci, chorzy i zawszeni. Różnili się może tylko tym, że żyli na swoim, a my, tułacze, wygnańcy, daleko od Ojczyzny. Klimat Kazachstanu bardzo zróżnicowany. W części północno-wschodniej umiarkowany, suchy, wybitnie kontynentalny. Latem ciepły ze średnią temperaturą lipca +25 C, zimą chłodny ze średnią temperaturą stycznia -25 C. W okresie zimowym mrozy dochodziły do - 40 C i wyżej. Nękały nas również kilkudniowe zamiecie śnieżne, bardzo intensywne tzw. burany, po których cała wieś zasypana była śniegiem, równo z dachami domów. Wygrzebywaliśmy się wówczas z domostw na powierzchnię jak borsuki z nor. Aby zapobiec

niszczycielskim siłom zimowych zamieci śnieżnych, a latem gwałtownych, ulewnych lecz krótkotrwałych burz, domy, a raczej chaty, budowano jako niskie, masywne bryły o płaskich dachach. Do tego celu w specjalnie wykonanych formach drewnianych wyrabiano cegłę z gliny. Glinę mieszano z plewami i krowimi odchodami, jako spoiwem. Formowana i suszona była na słońcu, nieraz kilka letnich pór roku. Te drewniane formy służyły również do wyrobu brył opałowych podobnych do cegieł torfowych. W tym celu zbierano świeże krowie odchody, mieszano z pociętą na drobno słomą, formowano i suszono na słońcu. Reasumując, do opalania w miarę szczelnych, glinianych chałup używano, jak już wspomniałem, trzciny, formowanych cegieł z odchodów bydła oraz zbieranych z pastwisk suchych plastrów krowiego łajna tzw. kiziaków. Drewno było towarem deficytowym. Najbliższe lasy to resztki obrzeży tajgi, które sięgały do północnej części Kazachstanu. Od naszego miejsca zesłania odległe około 200 kilometrów.

Wszystkich dorosłych obowiązywała bolszewicka zasada. „*Kto nie robotajet, tot nie kuszajet*”. Od lata 1941 r. w czasie wojny niemiecko-rosyjskiej zasada ta rozciągała się również na dzieci. Ja, jako najstarszy w rodzinie osobnik rodzaju męskiego, byłem zobowiązany pracować w kołchozie. „Podbudowany” hasłami „*Za rodinu, za Stalina*”, i drugie „*Wies chleb dla fronta*”, rozpocząłem pracę w *miaso-molocznom* kołchozie „Krasnyj Pachar”, w którym nigdy nie spożywałem mleka, a tym bardziej mięsa. Chociaż! – ale to za chwilę. W sezonie letnim roku 1941 przeznaczono mnie do wypasu owiec, potem cieląt. Pod koniec sezonu letniego „awansowałem” na pomocnika pastucha krów mlecznych dosiadając na oklep wierzchowca. Awans swój zawdzięczałem Hitlerowi, bowiem kwiat męskiego rodu kołchozowego wyruszył na front, by bronić Ojczyzny. Nastąpiło więc stopniowe przydzielanie prac, zwłaszcza polowych dla coraz to młodszych kołchoźników, czyli dzieci. Stado krów liczyło przemiennie około 300 sztuk. Głównym pastuchem był stary Kazach o imieniu Syzyk, jeżdżący na osiodłanym koniku rasy mongolskiej, który poruszał się truchcikiem aby nie nadwerężyć starych kości jeźdźca. Będąc muzułmaninem zsiadał on nieraz z konia, rozścielał dywanik, kłękał, odwracał się w stronę Mekki i rozkładając przed sobą ręce śpiewał jakąś niezrozumiałą mi modlitwę, czyniąc przy tym pokłony dotykając czołem ziemi.

Chodzenie za stadem było uciążliwe, a stepowe powietrze wzmagało apetyt. Staralem się na wszelkie sposoby zaspokoić trapiący mnie głód. Kiedyś znalazłem sfatygowany, zardzewiały, metalowy kubek. Po wyczyszczeniu go żwirem przywiązałem do portek pod wypuszczoną na wierzch koszulę tzw. rubaszkę. W stadzie wybrałem starą, spokojną krowinę, kucnąłem pod nią dojąc do kubka mleko. Dostrzegł to Kazach. Podjechał konno i w dość spokojny, rzeczowy sposób ostrzegł mówiąc: „nie rób tego, bo mnie wsadzą w tiumru, a ciebie w najlepszym przypadku odeślą do poprawczaka, jeżeli przypaleta się brygadzysta, czyli zwierzchnik.” I mówił dalej „rób tak jak cielak, po prostu ssij krowę, zawsze w razie wpadki nie będzie dowodu rzeczowego, a ty wytłumaczysz się, że usuwałeś krowie kleszcze”, które były uciążliwą plagą bydła. Kiwając głową westchnął: „wszyscy jesteśmy bardzo głodni”!

Masowe deportacje doprowadzały do śmierci przede wszystkim dzieci i starców wskutek nieustającego głodu, wycieńczenia i szerzących się chorób: tyfusu, czerwonki, świerzbu, szkorbutu, wszawicy. Do tego siarczasty mróz i zawieje śnieżne dopełniały reszty. Tylko nadzieja powrotu pozwalała przetrwać

najgorsze. W tych niezmiernie trudnych czasach trzeba było sobie jakoś radzić, zwłaszcza zimą. Miałem na sobie starą, watowaną kurtkę, z której na wierzch wylażyły właki. Natomiast podszewka tej kufajki z mocnego, trwałego płótna była mocno przyszyta. Kieszeni nie było, miała tylko płytkie otwory imitujące kieszenie. Do nich wkładałem wszystko, co w jakiś sposób mogło nadawać się do spożycia: ziemniak zmarznięty, nadgniły, ogryzek buraka, którego nie dokończyła owca, pół kolby niedojrzałej kukurydzy lub resztki zmiecionej paszy przeznaczonej świniom. W chałupie, przeważnie zimnej, wywracało się tą podszewką kurtki wysypując wszystkie zdobyte trofea, z których babcia wraz z Jeleną kleciły zupę zasypując tę lurę garstką śruty, ospy lub otrębów. Nieco lepiej przedstawiała się sytuacja żywnościowa wiosną i latem, kiedy w rowach bujnie wyrastała pokrzywa i komosa. Na stepie rosły cebulki stepowe, tzw. saranki. Szczawiu na stepach nie było. Na tej to zieleninie gotowaliśmy zalewajkę i zupę cebulową. Saranki jedliśmy na surowo, częściowo zapobiegając szerzącemu się skorbutowi, zwłaszcza wśród dzieci. W okresie letnim, w czasie żniw łatwiej było o ziarno, mielone potem w domowych żarnach lub rozgniatane wprost w metalowych puszkach. Zbieraliśmy też kłosy zbóż pszenicy i jęczmienia, za które często obrywaliśmy bity, niejednokrotnie słysząc niewybredne epitety, z których najłagodniejszy to: „ty polska świnio”. O dziwo, kiedy dziś nadchodzi mnie wspomnienia, dochodzę do wniosku, że tylko wiek dziecięcy pozwalał nam przetrwać to dzikie, nieludzkie kształtowanie młodocianego charakteru i osobowości przy pomocy knuta i ciągłego ponizania przez włodarzy tej socjalistycznej, radzieckiej rzeczywistości. Jako dzieciak myślałem wtedy, że chyba tak musi być, że to oczywista normalność.

Dnia 12 sierpnia 1941 roku Prezydium Rady Najwyższej ZSRR uchwaliło dekret o amnestii dotyczący polskich zesłańców. W wyniku przywrócenia i ocieplenia stosunków dyplomatycznych między Rządem RP w Londynie, a Rządem ZSRR (tzw. układ Sikorski-Majski) amnestionowani Polacy uzyskali prawo swobodnego wyboru miejsca zamieszkania. Z tego dobrodziejstwa skorzystała pani Jadzia i wyjechała do tworzącego się w Buzułuku Wojska Polskiego dowodzonego przez gen. W. Andersa. Nieco wcześniej wyjechał jej niespełna 15-letni syn do szkoły junaków organizowanej przy dowództwie. Zostały nas trzy rodziny, w sumie 10 osób. Niedługo po wyjeździe pani Jadzi otrzymaliśmy od niej paczkę z napisem: *prowierienno*. Wewnątrz paczki w liście wymienione były wszystkie rzeczy pierwszej potrzeby, a więc: mydło, świece, igły, nici, lekarstwa, nożyczki, cukier w kostkach, skarpetki i modlitewnik, który wrócił z nami do Polski oraz inne drobiazgi. Zaczyna pani Jadzia dokładnie wiedziała, co nam jest najbardziej potrzebne, bowiem sama niedawno doświadczała braku niezbędnych środków do życia. W drugiej paczce połowę zawartości z listu wykreślono np. czekoladę, cukier i inne, a opakowanie dotarło do nas mocno nadwerężone i niedbale sznurkiem związane. Trzecia przesyłka to prawie samo pudełko poszarpane, byle jak związane, bez listu. Więcej przesyłek nie było. Nie docierały do adresata, bo prawdopodobnie Polonia z Persji wraz z wojskiem przemieszczała się do Afryki i dalej do Europy, bliżej Ojczyzny.

Latem 1943 roku umiera babcia. Przyczyna śmierci wiadoma – stary, schorowany człowiek, żyjący w nieustannym stresie i ubóstwie. Zostałem z

młodszym bratem. Pogrzebaliśmy babcię zawiniętą w starą, dziurawą płachtę na wyznaczonym miejscu zwanym *kladbyszczem*, czyli cmentarzem. Był to kwadrat stepu położony na południe od wsi o wymiarach ok. 50 x 50 metrów okopany rowem. Kopaliśmy z Jurkiem grób dla babci na zmianę jedną pożyczoną, wyszczerbioną łopatą, starając się, aby był w miarę głęboki. Zimą bywało różnie. Z płytko wykopanych dołków wilki wygrzebywały zmarznięte na kość zwłoki. W kolchozie nie było drewna na wykonanie trumny, ani zbitcia krzyża. Na grobie babci ułożyliśmy krzyż z uzbieranych w stepie kamyczków.

Po ewakuacji armii gen. W. Andersa do Persji powstały nowe inicjatywy w sprawie tworzenia w ZSRR Wojska Polskiego. Staraniem założycieli Związku Patriotów Polskich 6 maja 1943 roku Państwowy Komitet Obrony ZSRR pozytywnie odpowiedział na ich starania. Z inicjatywy ZPP we wrześniu 1944 roku zostaliśmy przesiedleni na Ukrainę w rejon Dniepropietrowska do sowchozu nr 127 specjalizującego się w uprawach rolnych. My, dzieci, jako pierwsi wpadliśmy do baraku myszkując po pomieszczeniach dość starannie przygotowanych na nasze zasiedlenie. W kącie korytarza znalazłem skórkę chleba. Dobrze, pomyślałem, będzie co jeść. W przyszłości okazało się, że nie głodowaliśmy. Sowchoz był instytucją samowystarczalną, zwłaszcza pod względem wyżywienia. Na Ukrainie, podobnie jak w Kazachstanie, w pracach polowych przeważały kobiety i dorosłe dziewczęta. Zdrowych mężczyzn, poza starcami i wyrostkami poniżej 15 roku życia, nie było. Nie powrócili z wojny, bądź walczyli nadal, tym razem gdzieś na zachodzie. Młodzieńcy przysposabiali się do wojaczki w szkołach wojskowych. Powracający z wojny byli przeważnie kalekami, bez nóg, czy rąk, byli słabi i nie nadawali się do pracy. W tej sytuacji ja, jako najstarszy chłopiec w okolicy, zostałem skierowany do pracy w charakterze pomocnika w dziale głównego mechanika sowchozu. Był nim dziadzia Czubow, 45 letni świszczący astmatyk, wszechstronnie utalentowany pod względem mechanizacji, pełniący w sowchozie funkcję kowala, mechanika, młynarza i elektryka. Chorowity, wyręczał się mną w pełnym zakresie. Waliłem młotem w kuźni, obsługiwałem silnik poruszający walce mielące ziarno lub potężną prądnicę dającą światło w zabudowaniach sowchozu. Wieś nieco oddalona od zabudowań sowchozowych nie miała elektryczności. Latem wykonywałem też drobne naprawy sprzętu polowego. Zimą na przełomie lat 1944-1945 i 1945-1946 odkuwaliśmy lemiesz do pługów, ostrzyliśmy i naprawialiśmy ostrza do kosiarek, wykonywaliśmy prace konserwacyjne i poważniejsze naprawy różnego sprzętu nieodzownego do prac polowych.

Pionierską rolę spełniała w sowchozie nasza dzielna rodaczka – pani Helena legitymująca się dyplomem przedwojennego ekonomisty. Trzęsła sowchozem w pełnym tego słowa znaczeniu. Ona podejmowała decyzje, ona wyznaczała terminy prac, wydawała dyspozycje będąc główną i jedyną księgową przedsiębiorstwa. Ona przyjmowała i rozliczała się przed państwową komisją, wręcz zadziwiała członków komisji znajomością spraw i prawa dotyczącego prowadzenia przedsiębiorstwa rolnego. Często przewodniczący komisji domagali się prowadzenia kontroli przy udziale li tylko „grażdanki Piotrowskiej”. Przewodniczący i sekretarz gospodarstwa rolnego, byli żołnierze frontowi, jeden bez nogi, a drugi połamaniec, obwieszeni do pasa medalami, nie nadawali się zdaniem komisji do prowadzenia prac kontrolnych, jak również

reprezentowania instytucji państwowej. Tym sposobem sowchoz nr 127 stał się przodującym, a profity z naszej pracy zbierali władarze przedsiębiorstwa. Chociaż my, Polacy, dzięki pani Helenie byliśmy nieco łagodniej traktowani i postrzegani. Pod koniec roku kalendarzowego pani Helena sporządzała roczny bilans, planowanie i sprawozdawczość przedsiębiorstwa, ja z Czubowem pracowaliśmy od rana do późnej nocy nadzorując pracę silnika i młyna, bądź pracującą prądnicę, aby szczególnie pani Helena miała światło elektryczne przy swojej pracy. Zdarzyło się, że dziadzia Czubow wysłał mnie do księgowości mówiąc: „*Žeňka, bieži k Piotrowskoj pust wypiszet bumagu na masło do dwigatielia*”. Wpadłem jak burza do biura i powtórzyłem zapotrzebowanie na masło do *dwigatielia*. Pani Helena wstała i z miną nadzwyczaj surową dała mi obszerną lekcję kulturalnego zachowania i poprawnej polszczyzny. Bardzo mi się wówczas śpieszyło. Przeszłowałem więc z nogi na nogę z niecierpliwością, a ona mówiła i mówiła. „Heniek! Przed wejściem do pomieszczenia należy zapukać i wchodzić spokojnie na wyraźne zaproszenie. Musimy rozmawiać po polsku. Nie „*masła do dwigatielia*” potrzebujesz, a oleju napędowego do motoru. Przerwałem Helenie tyradę, *goriuczewo*, a ona znów „*nie goriuczewo*, a paliwa, po polsku”. Zbesztany zostałem za niegrzeczne zachowanie przerywając jej wypowiedź. Mówiła jeszcze dalej, dając mi pełny wykład, który sprowadzał się do jednego, że jestem Polakiem i nie mogę do Ojczyzny wracać z bagażem rusycyzmu. A mnie się tak śpieszyło.

Latem 1945 roku za namową i skuteczną agitacją sekretarza partii podpisałem angaż do zawodowej szkoły elektrycznej w Dniepropietrowsku. Podanie do szkoły miała mi pomóc pisać pani Irena. W tej sprawie zebrało się babskie konsylium naszych dziecięcych opiekunek i postanowiły za wszelką cenę nie dopuścić do mojego zatracenia, wręcz zagłady. Doszło do potężnego zgrzytu między mną, a dostojnym konsylium, bowiem stawiałem zdecydowany opór. Pisemne poparcie mojej sprawy zostało porwane przez panią Zofię, nauczycielkę, żonę majora sprzed wojny, która wielce wzburzona warknęła „żywego lub martwego zawłokę do Polski”. W owym czasie ze złości udusiłbym wstrętną Herod-babę. Wówczas takie uczucia kierowały mną. Dziś pewnie bym ją ozłocił. Nie spotkaliśmy się jednak nigdy po powrocie do kraju.

Nasze kochane panie, matki-Polki prowadziły z nami, młodymi, dorastającymi rozwydrzeńcami batalię o zachowanie polskość na zesłaniu, w obronie przed wynarodowieniem. W tym celu organizowały dla nas pogadanki, lekcje i wykłady z języka polskiego, historii, geografii i nauki o Polsce i świecie współczesnym. Uczyły też pacierza. Bardzo rzadko dawaliśmy się wciągać w dyskusję o naszym polskim, narodowym pochodzeniu, krnąbrni czciciele i sympatycy Komsomołu.

Wiosną 1945 roku w czasie wiosennej orki przybiegła do Czubowa Marusia z płaczem, że nie wyrobi normy. Stał jej ciągnik Lantz-Buldog pracujący na zasadzie gruszy żarowej. Dziadzia Czubow mówi mi „*Žeňka zapręgaj kobyłę do biedki (lekki powozik na dwóch kołach), biež lutlampę zapaloną i jedź*”. Pojechałem z Marusią na orne pole. Okazało się, że trzeba będzie uruchomić dwa ciągniki – Marusi i Ludmiły. Podgrzałem grusze żarowe do czerwoności i uruchomiliśmy traktory. W podzięce zostałem dokładnie ośliniony chyba przez trzy traktorzystki. Ustawiłem im pługi dwuskibowe na

głębokość orki ok. 30 cm, a nie na 40 cm, jak miały ustawione. Orały do późnego wieczora, normę wykonały z nadwyżką.

Za pracę otrzymywaliśmy zapłatę po rocznym bilansie rozliczeniowym na podstawie dniówek obrachunkowych tzw. *trudodni*. Moja dzienna praca liczona była po półtora *trudodnia* ponieważ wykonywałem prace uciążliwe, niebezpieczne i szkodliwe. Czubowowi liczone były dwa *trudodni* za dniówkę, a bratu Jurkowi po trzy czwarte *trudodnia* za dzień praktyki u szewca. Na przełomie roku 1945-46, po podliczeniach otrzymałem trzy pudy pszenicy (jeden pud to około 16,3 kg), jeden centnar ziemniaków oraz 30 rubli, czyli 3 czerwieńce, za które kupiłem bałałajkę. Potem zostawiłem ją Czubowowi na pamiątkę za jego ludzki, troskliwy stosunek do mnie.

W lutym 1946 roku wracaliśmy do Polski w czystych wagonach towarowych, z osłoniętą ubikacją, bez nadzoru, drzwi wagonu nie ryglowane. Na środku wagonu piecyk żelazny tzw. „koza” z ułożonym drewnem na opał. Na szczęście w roku 1946 zima nie była zbyt sroga. W wagonach w miarę luźno, postoje dłuższe do zaopatrzenia w żywność, wodę, leki i zorganizowaną pomoc medyczną w razie potrzeby. Na granicy polsko-rosyjskiej sprzed 1939 roku przesiadka do wagonów o zwiężonym rozstawie kół. Dnia 5 marca 1946 roku dojechaliśmy do Opola transportem kolejowym z Dniepropietrowska sformowanym z 56 wagonów w liczbie 1162 osoby. W naszym wagonie podróżowało 9 rodzin w liczbie 20 osób. Po rozładowaniu transportu Polski Urząd Repatriacyjny kierował poszczególne rodziny na zasiedlenie. Ja z bratem dotarliśmy do stryja, czyli starszego brata naszego ojca. Dziś jesteśmy już w swojej Ojczyźnie. I oto po wielu latach poniewierki, teraz w wolnej Polsce, gromadzą się wszędzie Sybiracy, aby zadokumentować swoje istnienie. Garstka nas. Wielu zostało na „niehumanitarnej ziemi”. Wielu już tu, w Polsce, zmarło. My jeszcze żyjemy – staramy się więc przeżycia i cierpienia Polskiego Narodu, które były i naszym udziałem, przekazywać młodemu pokoleniu, aby umacniać patriotyzm i miłość do Ojczyzny w ich młodych sercach i umysłach.